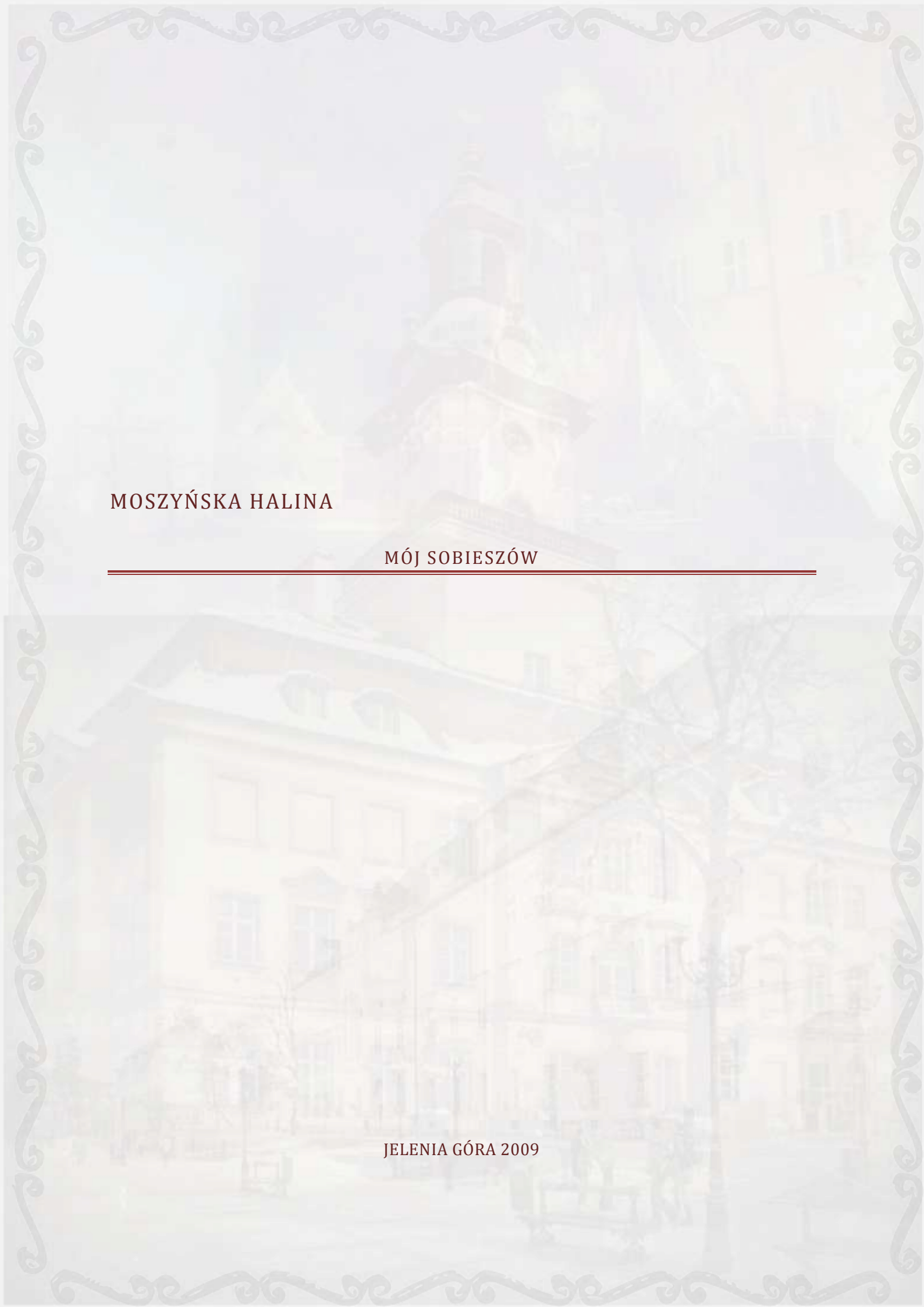




MOSZYŃSKA HALINA

MÓJ SOBIESZÓW

JELENIA GÓRA 2009

Miałam okazję posłuchać opowiadań ludzi z różnych stron. Ze zniszczonej działaniami wojennymi Warszawy ludzi, którzy potracili swoje domy i nie mieli, dokąd wracać, a także tych, co wracali z robót z Niemiec, gdzie byli wywiezieni, jako dzieci, a wracali, jako doświadczeni ciężkimi przeżyciami wojennymi młodzi ludzie, jak również tych, którzy musieli opuścić swoje rodzinne strony na obecnej Ukrainie, gdyż taki był to czas wypędzonych.

Z wypowiedzi tych ludzi, którzy obecnie zamieszkują w różnych dzielnicach Jeleniej Góry, wynika jedno, że miasto i okolica to piękna ziemia, która ich zauroczyła, którą pokochali, tutaj założyli swe rodziny, tu przeżywali radości i smutki i tutaj jest ich mała ojczyzna. A oto ich wspomnienia:

Ze zniszczonej Warszawy

To były inne czasy, to były biedne, ale piękne i bardzo radosne lata. Ta radość wynikała z młodości i racji odzyskania wolności. Jak się jest młodym człowiekiem to nic nie jest takie groźne. Jak się przeżyje wojnę i powstanie warszawskie - podczas powstania nas spalili - to radość, że się przeżyło, odzyskana wolność jest tak wielka, że się nie ma żadnych smutków. Człowiek jest szczęśliwy, że żyje. Mam takie pogodne zdjęcie z 1949 roku, bo przyjechałam tu, jako panna. To nie było miasto, to było miasteczko.

Ja przyjechałam tu z nizin, z Warszawy, a tu są przecież góry, które mnie zafascynowały. Jak wysiadłam w Jeleniej Górze na dworcu, jaki on był tętniący życiem, jaki był ruch, szabrowników też nie brakowało, którzy jeździli w tę i z powrotem. Było to w sierpniu 1948 r., a dokładnie 8 sierpnia. Dworzec kolejowy bardzo ładny, zadbane, ukwiecony, pamiętam rzędy kolorowych kwiatów w skrzynkach na dworcu, co ze zderzeniem, ze zburzoną Warszawą, było niesamowite. Po zakończeniu wojny pojechałam do krewnych do Wrocławia i jakiś czas mieszkłam tam, a później przyjechałam do Jeleniej Góry. Do Warszawy nie było, co wracać, była zniszczona. Wtedy szukało się miejsca i przyjeżdżało się do rodziny, znajomych. Jeden drugiemu przekazywał wiadomość. Wtedy nie miałam już rodziców i przyjechałam tutaj do cioci. Moja ciocia mieszkała w Sobieszowie na ul. Kopernika i mieszkała jeszcze z Niemcami, którzy jak wyjeżdżali to zostawili jej wszystkie dokumenty i akta dotyczące tego domu.

Oni też byli wtedy biedni, jak wszyscy ludzie, którzy musieli opuścić swój dom. Moja ciocia przyjechała tutaj w listopadzie 1945r. była wywieziona po powstaniu i pracowała w kamieniołomie w Wojcieszowie.

Tu jeszcze chodziłam do szkoły średniej. Z tym wykształceniem tak było, częściowo chodziłam na komplety, zdawało się na raty, bywało różnie. Miałam jeszcze wcześniej skończoną prywatną szkołę krawiecką, pracowałam w zakładzie w Łomnicy. Wstawałam do pracy o 4-tej rano, bo 5:15 miałam tramwaj, trzeba było pojechać do dworca w Jeleniej Górze a potem jeszcze się przesiąść na pociąg do Łomnicy. Ja pracowałam w laboratorium, przy wzorach, które się opracowywało i wysyłało do Łodzi. Dwa lata tam pracowałam. Trudno było w zimie, ale jak się ma 18 lat, to życie nie jest takie straszne. Jak jeździliśmy tramwajem, to był taki motorniczy, który już przed rozpoczęciem jazdy nagrzewał tramwaj. Wszyscy się znali, nie było nas tak dużo.

Życie kulturalne; gdzie teraz Dom Kultury MUFLON, tam były piękne koncerty, tu bywał Czerny (ojciec Haliny Czerny-Stefańskiej), który mieszkał w Przesiece, a tutaj przyjeżdżał. Tu bywał również Różycki, który mieszkał, miał willę w Zachełmiu. Na Chałubińskiego mieszkała pani Ciesielska - śpiewaczka operowa. Wystawiliśmy „Śluby panieńskie”. Miałam zdolności organizatorskie. Było to piękne przedstawienie. Była tu prężna Liga Kobiet, była stołówka, przy której gromadziło się towarzystwo i naprawdę było pięknie.

Tutaj, gdzie teraz jest Szkoła Menedżerska to najpierw zajął ten budynek komitet partii PZPR, obszerny budynek, za Niemców był to hotel Tietz. To była szkoła partyjna, tu byli kształceni ludzie z Komitetu Centralnego. Byli to młodzi ludzie, którzy też przychodzili na zabawy. Wtedy ta partia nie wydawała się jeszcze taka straszna, to byli młodzi ludzie. Nie znało się jej kulis. Nie miało się pojęcia. Słuchałam wypowiedzi tego majora, który kiedyś tu był oraz tych chłopców, byli to nieraz ludzie szalenie dowcipni. Tutaj odbywały się też różne akademie. Wszyscy mieli obowiązek być na akademii. Były recytowane wiersze. A jakie były pochody 1-szo Majowe!!! Po Niemcach zostało wzorcowe gospodarstwo, w którym było bydło zarodowe i piękny buhaj. Na przedzie pochodu 1-szo Majowego w 1949 roku szedł pięknie przystrojony buhaj, rogi miał przyozdobione wstążkami, kokardkami, jechał wóz drabiniasty, do którego został przywiązany ten buhaj, za nim szło 8 krów, za nimi szła orkiestra strażacka. Pochody pierwszo Majowe były kapitalne. Najpierw chodziliśmy z pochodem do Piechowic, tam

na stadion. Jak była pogoda, to było bardzo ładnie. W 1949 roku, pogoda była piękna, a ja miałam piękne białe tenisówki i podkolanówki! Tenisówki dodatkowo pobielone pastą do zębów. Jaki to był szyk! A jak przyjmowaliśmy w 1949 r. Żymierskiego i szliśmy ze szturmówkami, w pierwszym szeregu z koleżankami. Tak Żymierski w 1949r. przyjmował defiladę w Jeleniej Górze. Takie to były jeszcze czasy i człowiek był jeszcze dumny, że niósł szturmówkę. A dopiero po latach zdałam sobie sprawę, co to było.... Jednak wtedy w powojennych czasach młodzi ludzie nie zdawali sobie sprawy z wielu spraw, po prostu nie wszystko wtedy było wiadome.

Tu na początku Sądowej i Chałubińskiego był pierwszy posterunek Milicji, później była dyrekcja lasów a potem internat Technikum Przemysłu Drzewnego. Jako pierwsza była Milicja, a jej pierwszym komendantem był pan Kunnert.

Potem nastały inne czasy, coraz więcej polityki. Do partii nigdy nie należałam, chociaż mnie do niej namawiano wielokrotnie. W pracy coraz więcej ideologii, obowiązkowa prasówka. Pierwszy sekretarz zarządzał prasówki tzn. trzeba było przeczytać prasę i zreferować, jak to się pięknie rozwijamy, w której to było gazecie, jakie to jest piękne i wspaniałe, jak to Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Za brak poparcia dla jedynej słusznej linii groziły konsekwencje, można było wylecieć z pracy z wilczym biletem. Każdy się bał. Takie to były trudne czasy.

W Sobieszowie zaczęła się taka ulga dopiero w połowie lat 50-tych, może to był rok 54. Może nie jeszcze nie było tej odwilży w Polsce, ale tutaj przyszedł na I sekretarza pan Słupek. To był wspaniały człowiek, był repatriantem z Francji, poznał tam inne życie, a poza tym znał i sekretarza partii w Katowicach Edwarda Gierka, z którym kiedyś razem pracowali. I on mi właśnie wtedy pomógł. Tu się bardzo dużo ludzi ukrywało. Ludzie z Narodowych Sił Zbrojnych byli mocno prześladowani, na równi, a może bardziej niż z AK. W Sobieszowie było wiele takich ludzi, o których się nie wiedziało, kim byli, co mieli pozmienniane nazwiska. Dużo takich ukrywało się, a później powyjeżdżało do swoich środowisk, jak przyszła odwilż.

Ja osobiście ogromnie żałuję, że teraz jesteśmy Jelenią Górą. Jaki Sobieszów był piękny i zadbany. Zielenią opiekował się pan Gancarz, jak on dbał o zieleń i jaka wtedy była ona piękna i wypielęgnowana, jakie były zadbane kwietniki. W Sobieszowie było wówczas tyle prężnych zakładów. Gmina była ośrodkiem skupiającym życie

gospodarcze Sobieszowa. Były dwie szkoły, jedynka, no i dwójka. Był młyn. Były dwa ośrodki zdrowia na Reymonta i drugi na Sądowej(przedtem przedszkole), były dwa przedszkola, były dwa zakłady kowalskie, było bardzo dużo sklepów mięsnych, prywatnych, co kawałek był sklep. Po wojnie ludzie od razu się zorganizowali, nie trzeba było im pomagać i było by tak dalej, gdyby im nie przeszkadzali, sami się od razu zorganizowali. Były sklepy mięsne, była pasztecarnia, był sklep papierniczy prowadzony przez dwie stare Niemki, potem ten sklep przejęli Polacy. Pałac Schaffgotschów był piękny, zadbane, tu gdzie boisko były posadzone drzewka.

Był w Sobieszowie okazały basen z trampoliną. Trampolina była dwupoziomowa, było boisko do siatkówki. Pan Brandys zrobił muszlę koncertową. Była to piękna muszla, ładnie zrobiona. Był plac na występy z ławkami. Było boisko. Basen był ogrodzony. Były kabiny, toalety. Nie możemy przeboleć zlikwidowania tego basenu. Było to naprawdę coś. Były tam dożynki. Jakże to były piękne imprezy. Wtedy naprawdę Sobieszów tętnił życiem. Teraz nie ma nic. Jesteśmy peryferiami. Teraz jesteśmy sypialnią Jeleniej Góry.

A co się działo w Jagniątkowie. Przecież na początku do Sobieszowa należał: Jagniątków, Przesieka, Zachełmie, Marczyce, Podgórzyn. To była jedna Gmina. Myśmy prawa miejskie uzyskali w 1962 roku. A w 1976 roku zostaliśmy wcieleni do Jeleniej Góry. Najpierw byliśmy osiedlem, potem byliśmy gminą, a potem samodzielnym miastem, a teraz nawet nie jesteśmy dzielnicą. Urząd-Prezydium był w budynku obok kościoła, gdzie obecnie pokoje gościnne i pub, a przed wojną była szkoła ewangelicka.

Kościół dolny był czynny już wtedy, kiedy ja tu przyjechałam i ksiądz Marszał był już wtedy. Górny kościół nie funkcjonował tak jak dolny. Tam był raczej kościół grzebalny, tam był cmentarz i najpierw większość pogrzebów tam się odbywała. Potem zlikwidowano cmentarz przy górnym kościele oraz niemiecki na wyższym poziomie przy dolnym kościele. Przez 30 lat nie wolno było używać dolnego cmentarza przy samym kościele, było to zakazane z powodu występowania żył wodnych. Dopiero za księdza Frąca zaczęto grzebać na dolnym cmentarzu.

Drogę i oświetlenie na Chojnik robili więźniowie i gmina im za to płaciła. Na Chojniku był jeszcze Niemiec, ale potem został wysiedlony. Jak ten Niemiec wyjechał to przez jakiś czas wszystko niszczało. Chojnik nie był dobrze utrzymany. Gmina łożyła na jego remont.

Jak przyjechałam to było kilka restauracji, w tym m.in. tam gdzie teraz jest „MUFLON”, tam gdzie szkoła menedżerska, Góral, Potok, tam gdzie wafłarnia też była restauracja, a potem weterynaria, tutaj gdzie były rękawicznia też była restauracja, również tam gdzie był stary Muflon, tutaj gdzie GS sala balowa i restauracja. W GS-ie na dole była rozlewnia wód.

Obok szkoły nr 2, był zakład, który teraz już nie istnieje nazywał się „Hermes”, tam robiono bombki choinkowe i ampułki do leków. Potem na tym miejscu postawiono kamień i tam odbywały się uroczystości oraz zbierali się ZBOWID-owcy. Na ulicy Sądowej pod 16 była łaźnia, żyje jeszcze ta pani, która w niej pracowała.

Jak tu przyjechałam to domy były bardzo ładne i zadbane, ale łazienek w większości domów nie było. Na Kopernika, gdzie mieszkalam u cioci było jeszcze 3 lokatorów, były 3 sanitariaty, ale znajdowały się na podwórku. W Sobieszowie w eleganckich willach to były sanitariaty, ale gospodarstwa to wszystkie miały sanitariaty za stodołą /obok obory/, a ludzie - Niemcy bardzo skromnie żyli. Ja z racji pracy w urzędzie, wymierzałam podatki, musiałam chodzić po gospodarstwach i byłam prawie we wszystkich domach. Pamiętam specyficzny zapach, bo dom mieszkalny graniczył z oborą, tylko korytarz dzielił mieszkanie od części gospodarczej.

W Sobieszowie było 36 gospodarstw rolnych. Największe gospodarstwo posiadał Dąbrowski, na samym początku, tam gdzie Listowski, duże też było gospodarstwo Glapińskich - na samym początku Cieplickiej, duże były gospodarstwa: Łoniewskich, Domaradzkich, Urbana i Eszrycha, Szadkowskich, Jabłońskich, Jagielskich, Świętojańskich, Myszkowskich. Na Młyńskiej też mieszkali gospodarze. Później sporo gospodarzy oddało swe gospodarstwa. Słowem w Sobieszowie było dużo gospodarzy, chyba tak pół na pół. Bo były jeszcze takie działki, dzierżawione od melioracji, za wałami, gdzie wylewała woda i były to urodzajne ziemie.

Jak zaczęłam pracować nie dostawaliśmy jeszcze pensji, a mieliśmy tylko deputaty żywnościowe z Gospodarstwa, jak kawałek rąbanki, mąkę z młyna, piękną kaszę gryczaną, oraz ziemniaki, które trzeba było jednak samemu wykopać. Tam też był młody sad, na terenie obecnego boiska, stamtąd dostawaliśmy jabłka.

W gminie były jeszcze konie i piękna bryczka, jak się jechało do powiatu to się jechało bryczką. Woźnicą był Niemiec, który nie wyjechał, solidny i bardzo go lubiłam,

nie wyjechał, tutaj umarł, a jego syn mieszka w Wałbrzychu. W gminie były 4 konie, pracowały m.in. przy wywozie szamba na łąki. Do roku 1950 były samorządy. Po 50 - tym roku były rady narodowe i pierwszym przewodniczącym rady był pan Józef Urban.

Pałac Schaffgotschów był mimo zniszczeń był jeszcze piękny wówczas, kiedy ja tu przyjechałam. Nie wiadomo, co tam się działo. W zabudowaniach gospodarczych - folwarcznych było dobrze (a nawet bardzo dobrze) prosperujące gospodarstwo rolne PGR. Było gospodarstwo, była administracja. Tam były krowy, konie, owce, świnie, oni sprzedawali mleko, mięso, sprzedawali wełnę, uprawiali ziemię. Była duża owczarnia i ogrodnictwo, potem był skład materiałów budowlanych. To było gospodarstwo rolne z prawdziwego zdarzenia, na bazie ordynacji Schaffgotschów. Szkołę w byłym pałacu zorganizował Trojnar, było to dość renomowane Technikum Rolnicze, do którego trudno się było dostać.

Powrót z robót w Niemczech

Przyjechałam tutaj w dniu 30 października 1945 roku. Mieszkali tu jeszcze Niemcy. Przyszliśmy do tego domu. Przy stole siedzieli Niemcy, przed każdym była kupka kartofli i soli. Bez talerzy, bez niczego. Wszystko, co mieli w nocy ukradli im szabrownicy. W gospodarstwie było 5 krów, woły i zboże. Mój mąż umiał wszystko zorganizować, to zboże wymłócił, śrut zrobili, Niemki przesiali, zaczęli piec chleb w piekarniku. Krowy dały mleko zrobiłam śmietanę masło i ser. Mieszkała tutaj młoda niemiecka gospodyni z dzieckiem. Była załamana, jej mąż nie wrócił z wojny. W prezencie ślubnym dostałam komplet bardzo ładnych talerzy płytkich i głębokich, deserowych. Dałam to tej Niemce, żeby to jakoś wyglądało, żeby jedli po ludzku. Strasznie tutaj kradli, to było coś okropnego. Tego nie można opowiedzieć, ani opisać, to po prostu trzeba przeżyć. Można było wtedy zobaczyć, kim potrafi być człowiek. Polacy usprawiedliwiali to tym, jak Niemcy postępowali podczas okupacji. Gdy miałam 14 lat, to Niemcy wkroczyli do domu, zabrali i wywieźli mnie do Niemiec. Dlaczego mnie zabrali, to też nie wiem. Zabrali mnie i musiałam na nich pracować 4 lata. Wywieźli mnie na wieś, koło Magdeburga. Nie znałam języka, dodatkowo nie umiałam pracować na roli, bo urodziłam się i wychowywałam się w mieście. Ludzie się ze mnie śmiali, bo nie wiedziałam nawet, co to jest skiba. Musiałam ciężko pracować, początkowo było mi bardzo, bardzo trudno, później, kiedy nauczyłam się trochę języka i mnie poznali to, mimo, że tam byłam Polką to Niemcy mnie szanowali, jako Polkę i nie mieli do mnie

pretensji. Wywiezieni na roboty Polacy różnie się zachowywali. Jak Niemka się mnie zapytała: „Czemu ty się nie buntujesz? To powiedziałam jej, nie przyszedłam tu z radości, ani chęci, po prostu jestem. A skoro jestem, to wiem, że jest niewola i muszę pracować. Ubranie, to przerabiałam jak się dało. Jak zabrali mnie do Niemiec, to po jakimś czasie wszystko się zużyło. To różni ludzie kupili mi to jakąś sukienkę, czy jakieś inne rzeczy, ale często boso chodziłam, bo nie miałam porządnych butów.

Gdy zakończyła się wojna, to moja niemiecka gospodyni, u której pracowałam namawiała mnie, abym została. Pytała mnie, „Po co ty jedziesz do Polski?" Przecież wy Polski nie macie „was zabiorą Ruscy". Można sobie to wyobrazić, że już wtedy było wiadomo. Nie zapomnę tego nigdy. Wszyscy cieszyli się, że będzie koniec koszmaru wojny. Jednak, gdy nastał koniec wojny, to był horror... Byli tam różni ludzie i różnie nam było. Jak wypuścili ludzi z tych obozów, to nie wszyscy się godnie zachowywali. Byli skrzywdzeni ludzie, ale czyja to była wina, że oni byli w tych lagrach?

Przyszedłam po papiery, bo postanowiłam jechać do domu, do Polski. I moja niemiecka szefowa mówi „zostań, Ty byłaś inna". Ja mówię: „Nie, wracam do domu, jadę do Ojczyzny. Pani jest Niemką i mieszka w Niemczech. Ja jestem Polką to wracam do Polski. Ja chcę być w moim domu ojczystym". Poszłam swoją drogą.

Wracaliśmy do kraju. Boże! Co to była za jazda. To była makabra. Początkowo dostaliśmy piękne konie i platformę. Większość Polaków tak podróżowała, nie tylko my. Po drodze Rosjanie zabrali nam konie, potem znów inne rzeczy nam zabrali i w końcu prawie wszystko nam zabrali. To było okropne. To nie do wiary, że tyle można przeżyć i wyjść z tego, jako normalni ludzie. Zabrali nam prawie wszystko. Dalej jechaliśmy w towarowym wagonie. Gdy rano wstaliśmy wszystko było czarne, bo dymił komin. Do Polski wróciłam w czerwcu 1945 roku. Początkowo przyjechaliśmy do Legnicy. Potem pojechaliśmy na Śląsk w rodzinne strony męża. Ja chciałam w moje rodzinne strony, ale tam nie było warunków do założenia rodziny. Mąż pojechał na zachód i spodobało mu się tu gospodarstwo, i przenieśliśmy się tutaj. Mąż był osadnikiem wojskowym, wojskowi przechodzili do cywila i przydzielili nam to gospodarstwo, w którym się teraz znajdujemy. Było blisko do pociągu. Tramwaje i autobusy tu chodziły. Było tu elegancko. Był porządek. Niemcy tu dobrze gospodarzyli. W sobotę były ulice pozamiatane, wszystko było posprzątane. Było bardzo dużo kwiatów i zieleńców. Wokół domu rosło 12 dębów.

Do Niemiec mnie wywieziono, jako młodziutką dziewczynę, wracałam stamtąd, jako doświadczona już kobieta, jako żona i matka. Moim marzeniem była nauka, jednak los zrzucił inaczej. Nie było mi to dane. Chciałam się uczyć dla mnie nauka to było coś wspaniałego. Od czasu przyjazdu prowadziłam gospodarstwo rolne przez 35 lat. Potem przepracowałam w szpitalu przez 12 lat.

Zawsze w sobotę, wszystko było wyczyszczone, na fotelach i krzesłach poustawiane, tak dzieci uczyłam. Tak byłam nauczona w Niemczech, gdzie wszystko musiało być poskładane w kostkę, na wypadek alarmu, to trzeba było szybko się ubierać i biegiem uciekać. I tak uczyłam dzieci. Obecnie nieraz widzę jak moje wnuczki mają wszystko porozrzucane i pytają gdzie moje to czy tamto. Nadal mam zakodowane, że wszystko ma być poskładane. Ubierasz się i wychodzisz. Tak trzeba było, takie było życie.

Gdy tu przyjechałam było to piękne i dobrze prowadzone gospodarstwo. Przywiozłam dzieci i trochę tylko ciuszków dla nich. Byłam lubiana, żyła z ludźmi w zgodzie nic nie było. Młody dobry człowiek przyniósł pełną walizkę ciuchów dla moich dzieci. Ja znałam język niemiecki i normalnie z nimi rozmawiałam. Dając mi te rzeczy powiedział „ Ty masz dzieci. Widzisz, co się stało. Ja dzieci nie mam i nie wiem czy będę miał, a Tobie to się przyda”. Ubrań było moc i na długo starczało. Niemcy byli oszczędni i wszystko było to bardzo dobrze utrzymane.

Dopiero gdzieś tak około 1947 i 1948 zaczęło się, jako tako normalizować. Tutaj ludzie trochę odżyli, nabrali chęci do życia. Było dużo milicji i ubowcy byli tutaj na okrągło. Oni wiecznie przychodzili i nie wiadomo było, po co. Jak do nas przychodzili to mąż, aby nic nie mówić to stawiał wódkę, upijał ich i udawał, że nic nie pamięta. Było z nimi dużo kłopotów.

Sobieszów był ładny i dobrze utrzymany. Była to miejscowość letniskowa. Były tu tylko restauracje i hotele. Tam gdzie była rękawicznia był hotel i restauracja. Tam gdzie teraz bursa Potok, był dom wczasowy „Złoty Potok” hotel i restauracja. Tutaj przyjeżdżali wczasowicze, aby zażywać dobrego powietrza. Obecnie, gdzie jest przystanek autobusowy był hotel, również gdzie obecny dom kultury *MUFLON* był hotel i restauracja, i było jeszcze piękne kino, które zlikwidowano.

W 1945 roku to tu jeszcze mało było Polaków. Przybywający polscy osadnicy, przychodzili i przedstawiali się, i zapoznawali się, ci, co chcieli tu żyć. Przyjeżdżali też tacy, którzy nakradli i wyjeżdżali. Na początku to bardzo dobrzy ludzie tu przyjeżdżali i razem się trzymali.

W naszym gospodarstwie mieliśmy 7 hektarów ziemi. Mieliśmy wszystko. Mieliśmy mąkę, kaszę. W Sobieszowie był normalny młyn, jak przywiozło się pszenice, to otrzymywało się mąkę bardzo dobrą, dobrą, gorszą, kaszę manną, lepszą i gorszą. Była gryka, to robili kaszę gryczaną. Był jęczmień to robili kaszę jęczmienną. Były jarzyny i było się samowystarczalnym. Można było pomagać ludziom. Przychodzili siostry zakonne, które prowadziły tu dom starców, tutaj niedaleko na Cieplickiej. Myśmy z nimi bardzo dobrze żyli. Tam była bieda. Tutaj nikt nikomu niczego nie zabierał, a raczej dawał. To oni przychodzili tu i dostawali: wszystko, co było, żeby mieli, co jeść i żeby mogli nakarmić starców. Do dziś dnia tak bywa. Żałuję, że teraz nie mogę im dać wszystkiego, czego potrzebują. Tam u sióstr była piękna kaplica. Później ją zlikwidowano. Jak może katolik likwidować kaplicę? Te staruszki przychodziły tutaj, niektóre z nich mówiły nawet po polsku, nie tylko zakonnice, ale i panie, które były w tym domu starców. Przychodziły tutaj, bo wiedziały, że tutaj nikogo się nie szkaluje i każdemu podaje się rękę i daje się, co się ma i co potrzebne, to tu przychodziły. Mój mąż był dobrym człowiekiem. Biedakowi koszulę by oddał. Tu był taki dom, tu się wszystko udawało. W czasie zbiorów, podczas jesieni to się dzieliło zbiorami.

Basen w Sobieszowie był piękny, zagrodzony, czysty. Wejście kosztowało złotówkę, był pan, który wszystkiego doglądał, było pięknie. Było to całkiem inne życie. Wszystko to zniszczyli, wtedy, kiedy przeszło do Jeleniej Góry, bo przedtem wszystko bardzo dobrze funkcjonowało. Tu była milicja i był porządek. Na początku pijakom policja robiła zdjęcia i na tablicach wywieszali, w tym miejscu jak się schodzi po schodkach, tam gdzie swego czasu była cukiernia. Tam były takie duże szyby i tam tych zdjęcia tych pijaków wystawiano. I wtedy pijacy nie wychodzili na ulice, bo się bali, że zrobią im zdjęcia i wystawią w tym oknie. Sami siebie się wstydzili.

Wysiedleni z kresów wschodnich.

Myśmy przyjechali tutaj z mama, babcią i dziadkiem z Czortkowa, obecnie leżącym na Ukrainie. Ojciec był w armii Andersa, co było początkowo dobre, potem niedobre, jeszcze później całkiem złe, a teraz znowu jest dobre, a nawet bardzo dobre. Dlatego ja współczuję i dobrze rozumiem tych, którzy przyszli spod Lenino, którzy byli kiedyś bardzo dobrzy, potem dobrzy a teraz podobno są całkiem źli. To jest coś strasznego dla tych ludzi, ja wiem, bo pamiętam jak ojciec to przeżywał...

Początkowo nas było trzech, później dojechał do nas Wiesiu. On byłby tu dużo, dużo wcześniej gdyby jego wcześniej dziadkowie nie zatrzymali się w Pakoszowie. Bo to właśnie oni rozpoczynali swoją karierę na tzw. ziemiach odzyskanych. Wtedy, to nie był żaden Sobieszów, czy Jelenia Góra. To były ciągle Ziemie Odzyskanie, o ogromnej niepewności jutra. Wiesiu pierwszy przyjechał do Pakoszowa i później dopiero do Sobieszowa - takie były nasze na ziemiach odzyskanych początki. Już jesienią otwierała się pierwsza szkoła w Sobieszowie. I myśmy to bardzo przeżywali. I to trzeba podkreślić, że powstała już szkoła polska wśród mieszkających jeszcze tu Niemców. To było dla nas bardzo ważne, że jest tu już szkoła polska. Nas Polaków było wtedy zapisanych do tej szkoły tylko jedenaścioro dzieciaków. Dlatego szliśmy mniej więcej jeden, co 3 metry w pochodzie, aby to zademonstrować, że jest to szkoła polska. Dano nam do niesienia pomoce naukowe, jeden z kolegów niósł np. duży globus.

Pierwszym Kierownikiem uruchomionej w Sobieszowie Szkoły Podstawowej była Pani Józefa Reczuch. Pani Maria Czechowska i jej syn Andrzej jeszcze nie zdążył się zapisać do szkoły, gdyż uznał za słuszne by razem z mamą przyjść do szkoły. Drugim przybyłym do naszej szkoły Polakiem, był zamieszkały na Agnieszkowskiej Czesław Uliński, który został zapisany, jako trzeci. Ja, co prawda nie byłem pierwszym, który, ale jestem na liście zapisany, jako pierwszy - to dla historyków zapewne na zawsze będę jej pierwszym uczniem.

To był czas, kiedy trzeba było demonstrować polskość. Pani Józefa Reczuch i pani Maria Czechowska wywiesiły na gmachu szkoły flagę polską. Była też możliwość wciągnięcia flagi na maszt, oczywiście ponemiecki maszt, osobiście przemalowany na kolor biało-czerwony. Panie położyły ten maszt i przemalowały. Później, po kilku miesiącach, kiedy szkoła już trochę okrzepła, jakiś czas po naszej 11-osobowej defiladzie

nastąpiło uroczyste, już oficjalne otwarcie szkoły. Do dziś to pamiętam - każde dziecko miało recytować jakiś wierszyk. Był też wiersz - „Lecą samoloty bombardować Warszawę recytowany przez jedną z koleżanek. Ksiądz pokropił nas i szkołę i takie było rozpoczęcie roku szkolnego. To był kapłan z kościoła polsko-katolickiego. Nie pamiętam już jak on się nazywał. Później dopiero przybył do naszego miasteczka ksiądz rzymsko-katolicki, który ma ogromne i niezapomniane zasługi dla Sobieszowa. Ale pierwszy ksiądz był z polsko-katolickiego kościoła, choć jak sądzę wtedy nikt na to nie zwracał uwagi. Tak się zaczęła nasza wielka szkoła, wielka nauka. Byliśmy podzieleni na kilka klas. W każdej klasie były tylko po dwie, trzy osoby. Bardzo szybko to wszystko się działo. Nawet nie bardzo to pamiętam. Ja byłem w 1945 roku w 6 klasie, Wiesiu był w 7 klasie. On był taką mocną postacią, był niezwykle sprawny fizycznie i jednocześnie bardzo sprawny umysłowo - wybitny talent matematyczny. Miał wujka, który był przedwojennym nauczycielem matematyki a Wiesiu z nim wygrywał w szachy. Był najlepszym szkolnym matematykiem i najlepszym w grze w palanta. Głównej naszej zabawie

Ja ukończyłem Liceum Pedagogiczne i zaraz podjąłem pracę w Sobieszowie. Moją specjalnością był w-f. Nie miałem wyboru, bo w tamtym czasie po liceum trzeba było odpracować trzy lata, aby móc pójść na studia. Pracowałem z Zosią Twardowską-Popek, a Zbyszek Popek dołączył do nas jeden rok później. Wówczas dyrektorem szkoły był już pan Romuald Juskiewicz, który przejął szkołę od pana Józefa Herdusia. Pan kierownik J.Herduś był człowiekiem wyjątkowej dyscypliny, trzymający szkołę w ryzach, nauczycieli i uczniów, dlatego był w konflikcie z wieloma nauczycielami, ale był on zarazem bardzo dobrym nauczycielem, który starał się przekazać jak największą wiedzę uczniom. Ci, którzy od niego wyszli mieli wielkie ułatwienie w dalszej nauce i karierze.

Takie były początki. To był trudny czas, bo trzeba pamiętać, że w Sobieszowie mieszkali wówczas głównie Niemcy. I między nimi, co ja mówię z ogromnym żalem, było wówczas bardzo wielu autochtonów. Ludzie ci początkowo cieszyli się, że Polacy tu wreszcie przyszli, gdyż oni byli wcześniej źle traktowani w Sobieszowie właśnie, jako Polacy. To był taki tygiel wielu narodów. Pamiętam m.in. taki obrazek - w późniejszym internacie szkoły drzewnej, mieszkały zakonnice, które pięknie mówiły po polsku. Gdy te niewiasty rozmawiały z moim dziadkiem to mówiły do dziadka, że za Niemców były Polkami, za Polski są Niemkami i one same teraz nie wiedzą, kim są, bo tak były różnie

traktowane. Potem te zakonnice zostały wyrzucone z ich domu i wyjechały. Później jeden z mieszkańców Sobieszowa zbijał w pomieszczeniach po zakonnicach stiuki religijne. Była tam też kaplica. Ten człowiek niestety pracował tak dokładnie, że skuł wszystko i teraz nie ma tam już żadnych pozakonnych śladów. Tak być chyba musiało, bo przecież uczniowie mieszkający w internacie nie mogli oglądać „świętych” zdobień.

Ja początkowo mieszkałem na Cieplickiej 68, tam gdzie teraz jest sklep a kiedyś była mijanka tramwajowa. Mieszkaliśmy dokładnie tam, gdzie się przerzucało tzw. wajchę i dlatego było tam zwykle bardzo głośno, bo był tam też przystanek końcowy. To przeszkadzało w nauce i w spaniu - ale tylko pierwszy tydzień, bo później już się do tego przyzwyczaiłem.

Jak pamiętam, Niemcy bardzo blisko współdziałali z Polakami, tu nie było rozdzwiewu, nie było konfliktów. Nieco później, chyba w 1947 roku zostali stąd wywiezieni, w jakimś stopniu wypędzeni - podobnie jak wcześniej ja i moja rodzina ze stron rodzinnych. Pożegnałem wielu z nich, bo z wieloma niemieckimi mieszkańcami Sobieszowa przyjaźniłem się, zwłaszcza z tymi, którzy w miarę dobrze mówili po polsku. Myśmy też trochę mówili po niemiecku, a jako dzieci szybko się dogadywaliśmy ze sobą. Gdy Niemcy wyjechali to tak naprawdę zaczynała się w pełni polskość na tym terenie.

Pierwsze działania publiczne, zewnętrzne, to były festyny. Festyn był zawsze organizowany na bardzo ładnym 'miejskim' boisku. Po wojnie przy boisku były trzy baraki, a w środku bardzo pięknie wyposażone, Dla niemieckich „Hitler, Jugent”, której członkowie tutaj trenowali. Bardzo dobre było też wyposażenie sal gimnastycznych i kuchni. Jednak później to niszczone, rozszabrowano, aż znikło. Ale powtarzam, na początku było bardzo dobre wyposażenie. Było też boisko z zapleczem przy basenie. To też zostało stopniowo niszczone. Jak tutaj kiedyś później przyjechałem na spotkanie, to celowo poszedłem zobaczyć jak to teraz wygląda. Miejsce, gdzie odbywało się nasze życie, gdzie były ogniska i spotkania. Tam można się było też ukryć, papierosy popalić. I ja paliłem. Bo Ojciec jak wrócił z Anglii to przyniósł z sobą Chesterfildy. i ja je paliłem, ale później, jak już te papierosy zniknęły, to się paliło Tryumfy a potem Sporty, ale one mi nie smakowały i przestałem palić - do dzisiaj nie palę.

Wiesiu, nasz przyjaciel, to był chłopak do wszystkiego, do tańca i do różańca. Był bardzo lubiany, był autorytetem dla nas wszystkich i nikt tak dobrze jak on nie grał

w palanta. Potrafił ładnie i mocno uderzyć w piłkę, piłka bardzo daleko leciała. Potrafił też zrobić Damkę, lewą ręką! A tego nikt z nas nie potrafił zrobić tak jak on, ani Waldek, ani Zbyszek ani ja.

Gdy Niemcy ostatecznie wyjechali, zaczęły się „rządy polskie”. Przykre to było to, że Polacy niszczyli to, co pozostawili nam Niemcy. Do nas do klasy przyszedł pewien chłopak z Pakoszowa. Miał ze sobą młotek i plik zegarków. Powiedział... teraz będziemy niszczyli Niemców. Położył zegarek i walnął w niego młotkiem. Położył następny i znowu walnął w niego młotkiem. Myśmy go przy 3 zegarku powstrzymali, nie chcieliśmy, aby on to niszczył, jak również nie chcieliśmy tych poniemieckich zegarków. Nikt z nas nie chciał tych zegarków. Zabrał je z warsztatu, bo mieszkał u zegarmistrza w Pakoszowie.

Na Chałubińskiego, przy wąskim przejściu, przy drewnianym domku, było boisko do tenisa - kort. Ale nikt nie grał w tenisa, bo. Przy domku był piękny Ponto sport dla elit, a my? Co to za elity? Drewniany domek, otoczony był płotem żeliwnym, poniemiecki płot. Jak myśmy tam przyszli ...oj straszne wspomnienie, wstyd do dzisiaj. Wiadomo, żeliwo łatwo pęka. I jak się w końcówkę uderzy to ta odpada, z dźwiękiem paaanak. To nam imponowało, że niszczyliśmy płot poniemiecki. Ale szybko doszliśmy, że to coś ma swoją wartość i to nam może służyć. Ostatecznie ten płot został uratowany, po co to niszczyć.

Tamte lata, to był czas wielkiego szabrowania. Bardzo dużo ludzi tu przyjeżdżało, zajmowało dom, następnie wywoziło z tego domu, co tylko było cenniejszego i wyjeżdżało. Najlepszym przykładem takich akcji był dom, który kiedyś nazywał się Bajka, a teraz jest tam Karkonoski Park Narodowy. Ja mieszkałem na Wiejskiej 11, to były dwa ostatnie domy na drodze do Podgórzyna, czyli obecnie ulicy Bronka Czecha. Z naszego domku przez cały czas tę Bajkę obserwowaliśmy. Tam między rokiem 45-48, zmieniło się czterech właścicieli. Pierwszy z właścicieli wywiózł bardzo dużo, drugi również bardzo dużo, trzeci wywiózł dosyć, a ten czwarty pomieszkał trochę. I temu czwartemu właścicielowi pozostała już tylko taka duża szopka, Kiedyś chodziliśmy po kołędzie. Ja tak bardzo nie uczestniczyłem jak inni, byłem ministrantem, ale takim ministrantem, trochę z dystansem i Byliśmy również w Bajce i tam zauważyłem przepiękną szopkę - stajenkę, ale naprawdę piękną, bardzo mi się podobała. Kiedy następny człowiek się wyprowadził z Bajki, to ja tam szybko pobiegłem by zobaczyć, czy

jest jeszcze ta stajenka? Ale niestety ostatni lokator Bajki szopkę wywiózł. I takich miejsc jak Bajka było bardzo, bardzo dużo. Mało było ludzi, którzy od początku traktowali swoje nowe domy poważnie. Jedną z takich rodzin była rodzina Mariana Jabłońskiego, rodzina o wysokiej kulturze. Pochodzili spod gór, prawie górale, to ludzie niezwykle sumienności i wszyscy ludzie z Sobieszowa ich bardzo cenili. I oni przeżyli dwie największe tragedie. Pierwszy wielki pożar, jaki był w Sobieszowie, to pożar ich gospodarstwa. Oni mieszkali w bocznej ulicy od ulicy Cieplickiej, naprzeciw byłego posterunku milicji. Tam właśnie był pierwszy wielki polski pożar i wielka tragedia. Druga wielka tragedia tej rodziny to śmierć młodego członka rodziny, który wcześniej poszedł do pracy do zwózki drewna. Wówczas drewno zwoziło się saniami rogatymi, a on był specjalistą od tej zwózki. Kiedyś zjeżdżał spod Śnieżnych Kotłów i zakłuł się ołówkiem, który miał w kieszeni. Spadł z sań, przewrócił się na ołówek, który wbił się głęboko w niego, lekarz daleko, zmarł. To był pierwszy pogrzeb polski w Sobieszowie. Tak to zapamiętałem.

Początkowo kulturalne życie miasta odbywało się na boisku i przy basenie. Poza tym były codziennie zabawy w Wołyniance. Ta restauracja mieściła się tam, gdzie później była rękawicznia, a teraz jest dom mieszkalny. Codziennie były tam dancingi, zawsze dużo ludzi i świetna zabawa. Oczywiście grała orkiestra. Jej członkowie grali również w... piłkę nożną. A wówczas sobieszowska piłka nożna bardzo liczyła się w całym powiecie. Największa rywalizacja była między Piechowicami, a Sobieszowem. Ludzie z orkiestry stanowili też trzon kulturalny Sobieszowa. Pamiętam, że jednym z filarów kultury to była pani Tarkowska /Tarnawska/??? Chiromantka, przedwojenną śpiewaczką Zamieszkała w Sobieszowie i prowadziła naukę gry na fortepianie i naukę śpiewu. Ja również chodziłem do niej na naukę gry na instrumencie. Niestety, niezbyt udana nauka to była. Pani T. zrobiła pokaz - popis w dawnym hotelu turystycznym, tj. tam, gdzie obecnie jest szkoła (WSM), Na tej Sali mieliśmy popis - występ, to było wówczas wielkie wydarzenie, niestety z moim udziałem, bębniłem na fortepianie, bo jak moi rodzice chcieliby syn się uczył, to się uczyłem. Pamiętam, że wówczas było bardzo dużo ludzi. Śpiewały panie przygotowywane przez panią T. Nam wydawało się to dziwne, bo wówczas dla nas osoba, która miała już jakieś 35 lat, była bardzo starym człowiekiem. A takie właśnie „staruchy” śpiewały i było to wielkie wydarzenie. Innym ośrodkiem kultury był klub „Muflon”, który przedtem inaczej się nazywał, było tam, bowiem kino. Poza tym funkcjonował też teatr, prowadził pan Drozdowski. W teatrze

występował również ksiądz, Stanisław Kazimierczak i pani Zofia Twardowska Popek. Nie bardzo pamiętam, kto jeszcze występował, ale chyba i Wiesław w „Ślubach panieńskich”, bo faktycznie on był wszędzie. To było ważne wydarzenie kulturalne, że mieliśmy własny teatr. Do naszego teatru przyjeżdżał również Teatr Tramwajarzy i Tramwajarze wystawili tutaj „Wojaka Szwejka”. Teatr amatorski bardzo mocno zaistniał na tym terenie. Zaistniał, bo wszyscy mieli świadomość, że jesteśmy na Ziemiach Odzyskanych i ważne jest wszystko, co polskie. To się czuło, chciano, aby tutaj był kawałek Polski. I to było bardzo wyraźne dla każdego, być u siebie i na swoim

Jak otwarto pierwsze sklepy, to jeden z nich za mostem otworzył pan Kołłątaj, z „tych” Kołłątajów właśnie. Powstało też koło PCK z panią M. Czechowską na czele. Działo ono przy szkole i całym kołem poszliśmy na otwarcie sklepu do pana Kołłątaja. Pan Kołłątaj otworzył ten sklep i myśmy też w tym wydarzeniu uczestniczyli, jako w otwarciu pierwszego polskiego sklepu. Były cukierki.

Wracając do wątku zabaw. Zabawy odbywały się nie tylko w „Wołyniance”. Bawiono się też w „Patrii”, teraz tam jest sklep „Biały Lew”. Tam były non stop dancingi. Były też zabawy w „Góralce”, obok byłej Fabryki Mebli. Była też restauracja na Podzamczu, do dzisiaj jest „Podzamcze”, a naprzeciw była restauracyjka „U Janka”, prowadzona przez Wieczorków, też polniemiecka restauracja. Oprócz tego były kawiarnie. Była kawiarnia „Wanda” tuż na zakręcie naprzeciw kuźni. Była również kawiarnia przy aptece i tam, gdzie był GS - nie wiem, co tam teraz jest. I tam też były ciastka - ciężko mi było mamę namówić, bo ojciec jeszcze nie wrócił z wojny - na kawałek tortu, nie wiem ile on kosztował, dużo Wyobraźcie sobie kawałek tortu zrobionego z mielonego maku, przełożonego kremem czekoladowym i to wszystko było robione w makutrze. I do dziś pamiętam smak tego tortu. Tych kawiarni było jeszcze więcej po drodze. I była jeszcze restauracja naprzeciw kościoła, nazywała się „Cafe pod Minogą” a prowadził pan Brolik, z repertuarem Wiecha. I jak tą kawiarnię otworzył to bywało tam bardzo wiele ludzi. Do dzisiaj tego nie rozumiem. Była bieda a kawiarnie i restauracje były pełne ludzi. Wszędzie się bawili. Te restauracje i kawiarnie były dosyć pełne i tak się kręciło, a potem nagle wszystko siadło. Nie wiem jak to się stało. W czasach tych życie kulturalno rozrywkowe kwitło, było bardzo wesoło i do dziś nie wiem, co się stało, że to tak nagle upadło.

Sobieszów nazywał się początkowo Chojnasty. Poczta Jerzmanice a miejscowość Sobieszów. Więc jeżeli, ktoś chciał jechać to do stacji Sobieszów, poczta Jerzmanice, a miejscowość Chojnasty. Szkoła się stopniowo rozbudowywała, a każdy z nas poszedł w swoim kierunku. Ja byłem w kolejnej drugiej klasie, która opuściła mury szkoły w roku 48. Wiesiu Gadowski opuścił mury szkolne rok wcześniej. On był w klasie pierwszej normalnej, bo jeszcze przed nim były klasy organizowane przez panią Reczuch, klasy dla dorosłych. I tutaj wielu dorosłych, którzy przerwali naukę w szkole podstawowej, w czasie wojny, chodzili do szkoły podstawowej dla dorosłych.

Takie to były początki, to prawie prehistoria Sobieszowa. Zawsze wycieczki szły na Chojnik. Początkowo Chojnik nie miał gospodarza, później dopiero zajęło się nim PTTK. Na Chojniku był ołtarz. Ja mam zdjęcie tego ołtarza na Chojniku. Początkowo tam Niemcy jeszcze coś odtwarzali, myśmy uważali, że na Chojniku zostały ukryte jakieś skarby, między Chojnikiem a Podgórzynem. Niemcy bardzo długo tam kopali. U nas mieszkał bardzo długo sekretarz Schaffgotscha. I mniej więcej po kilku latach mama, która kopła w ogrodzie coś razem z ciotką, natrafiła na puszkę. A wtedy była taka psychoza, że zakopane są w ziemi jakieś skarby. I pamiętam, z jakim przejęciem odpakowywały to zawiniątko, w środku coś brzęczało. Bo co to mogło być - samo złoto? I one tak ostrożnie to otwierały, zawinięte w szmaty nasączone olejem. Wreszcie otwarły i co się okazało - był tam ogromny pęk kluczy. Prawdopodobnie ten Niemiec, jako sekretarz Sachffgotscha musiał mieć klucze do najważniejszych pomieszczeń pałacu w Cieplicach i pałacu w Sobieszowie. Nie wiem czy państwo wiecie, że część pałacu w Sobieszowie, jest zamurowana grubym murem, nie ma tam dostępu. Myślę, że on mógł mieć te klucze do tych pomieszczeń. Ale kogo to wtedy tak bardzo interesowało. Mnie interesowało to, że ja pierwszy raz w życiu dostałem hulajnogę i mogłem jeździć po bardzo równej drodze, po czymś takim, co nazywało się asfalt. Tam, skąd pochodzę ulice były brukowe, tzw. kocie łby i jeździło się po kamieniach. Więc wiecie, co to było za uczucie jeździć po czymś tak równym i gładkim jak asfalt. Różnica była ogromna.

Ukończyłem AWF, prowadziłem grupę biegaczy. Ja tak z nimi się zaprzyjaźniłem i tutaj, w Sobieszowie prowadziłem tych biegaczy. Ale ciągle pamiętałem o tym, że ja jestem z Czortkowa - województwo tarnopolskie. Stamtąd pochodzę. I bardzo chciałem, aby tutaj powstało coś polskiego, to tak głęboko we mnie tkwiło, w mojej głowie, że nawet nie umiem tego powiedzieć. To bardzo głęboko tkwi w człowieku. Ja nawet nie

wiem, w którym miejscu w mózgu to miałem zapisane, a może za mózgiem. W każdym razie ta polskość była we mnie wszechobecna. A może to jest po prostu w krwi....

Os autora ostatniej wypowiedzi.

Jeżeli można opowiadanie to, chciałbym po święcić kolegom: Waldkowie Moskwie /Najwszechstronniejszy/ Zbyszkowi Popkowi /potrafił zagrać Chopina ze słuchu !!! bo wówczas nie znał nut/, Cześkowi Ulianskiemu /twardziel/, Andrzejowi Czechowskiemu /Koleżeństwo przepojone życzliwością/ i wszystkim kolegom od palanta... Julian Gozdowski Wasz kolega